

Cena 50 gr.

KRAKÓW, Grudzień 1929 r.

Rok I.

Indywidualizm a szkoły literackie.

Biały ktoś, otwierając naścieżaj wrota polskiej kultury obcym nowinkom, że zbyt jednolicie przedstawia się dorobek duchowy naszego XIX wieku: romantyzm i impresjonizm, te dwa dopełniające się prądy literackie, przedzielone nieistotną, według owego nowatora, przerwą pozytywizmu, wypełniając całą umysłowość polską w przeciągu zeszłego stulecia. Tak stwierdzono brak innych szkół i prądów literackich, które w owym czasie bujnie zagranicą kwitnęły.

Gdzież parnasizm? Gdzież naturalizm? Gdzież inne? — I na gwałt rzucono się do tworzenia grup, koteryj, szkół literackich, wyznających różne, ściśle dla każdej szkoły oznaczone programy, wierzących ślepo i naiwnie w nieomyślność swych, co raz to ryzykowniejszych celów, i w ich zbawienność.

Zaczęto więc czempredziej przeszecepić, w chłonącą wszystko, zaledwie wolną, umysłowość polską, ostatnie — że się tak wyrażę — przeboje literackie zagranicy, poeci zaś, których jedyną zasługą było rzucenie w polski ugor paru ziarn obcej, przyjętej i przetrawionej myśli, otwarcie to wyznali: — „Ja zaś, ku chwale imienia ojczyzny swojej, przeszecepiam obce pędy na Drzewo Rodzime, na krzepki Dąb Polski“. (Tuwim).

Ilu poetów, tyle „Zwrotnic“, „Dźwigni“, „Meteorów“, „Kadr“ i innych „Zdrojów“, koteryj i koteryjek. — Nie wymienilem tu Skamandra, bowiem poeci tworzący tę grupę, nie przyznawali się do żadnego ściśle określonego programu. Czy go nie mieli? — rzecz inna.

Obowiązkiem każdego poety jest należeć do jednej z tych grup pod grozą okrzyknięcia go niewspółczesnym (co za poważny zarzut!), a więc — bez talentu.

Cechą, nie tyle charakterystyczną, co niezbędną w każdym z tych wielu literackich programów jest bezwzględnie pewien dynamizm.

Jesteśmy w pochodzie. Idziemy wielkim krokiem ku tak, zda się, pewnej i jasnej przyszłości.

I oto jedna uwaga, jedno zastrzeżenie. Warto stwierdzić, co z bagażu, który w trudzie dźwigamy, jest prawdziwą wartością, a co jedynie jej złudą.

Idziemy tą drogą obładowani czczymi symbolami różnych „izmów“, zapatrzeni w błędne ogniki: miasto, masę i maszynę.

Może jednak należałoby inny obrać kierunek, inną zmierzać drogą.

Właśnie dziś nagląco potrzebny jest obrachunek, w czasie zamętu i bezmyślności, gdy słowa nasze straciły swe właściwe, wewnętrzne znaczenie, a stały się kolorowymi liczmanami uczuć, któremi kupeczą sprytni kuglarze na gwarych ulicach, gdy niczego nie jesteśmy pewni, nie mogąc się porozumieć, gdyż krzyczą stada tych, którzy nie do powiedzenia nie mają — a głos każdego z tych krzykaczy ma donośny ton, nie tyle naprawdę proroczy, co manifestacyjny.

Nie jest przyjemne „legitymowanie programów“ tak, zda się, jasno skryształizowanych, tak prawie zupełnie nieomylnych (oto dają nam kiedy niekiedy nawet szablonowe „przykłady nowego tworzenia, czy śpiewania“!), — ale bez wszelkiej wątpliwości pożyteczne.

Oby nie do nas odnosiły się te surowe, a sprawiedliwe słowa: „Nie jesteś, z bruku wołają kamienie, przechodź!“ (Norwid).

Oby nas nie przekreśliła zupełnie przyszłość „korektorka wieczna“. Już dość dawno rzucono pod adresem różnych naszych grup literackich: gdzież jest wśród was jakaś silniejsza indywidualność? — Głupstwo, odpowiadano, my mamy program i cel; reszta się sama robi.

Tak, robi się — ale nigdy! w tych warunkach.

Zadaniem wszystkich tych szkół jest (przyznano się do tego otwarcie) wytworzenie przeciętnego poziomu literackiego. Zdawało się twórcom tychże grup, że między olbrzymiami statuami natchnień genjuszów poezji jest luka, która trzeba koniecznie zapłacić, właśnie tym „przeciętnym poziomem“. I tu jest zasadniczy błąd. Nigdy celem twórczości prawdziwej nie

było i nie będzie wyrównywanie poziomu umysłowego. Każda silniejsza indywidualność odskakuje, jak piłka, od płaszczyzny przeciętności i nierzadko graniczacej z nią popularności. Stawiać zaś sobie za cel, przywiązywanie indywidualnych wartości do normalnej podstawy przeciętnych zdażeń, uczuć i myśli, co bezwzględnie cechuje każdą zbiorowość, jest — obniżaniem lotu. Z takich gniazd nie wylecą orły — wróble raczej, lub sikory.

Głównym atutem tych mizernych zamieżeń ma być tak bałwochwalczo ubóstwiana współczesność, rzekomo streszczająca się w pojęciu: „twórczy kolektywizm“.

Otóż cechą charakterystyczną naszej epoki, zaczynającej się już w końcu zeszłego wieku, jest nie masowa wytwórczość (pojmuję tu „masę“ jako czynnik wytwarzający, a nie wytworzony), lecz właśnie nawskróś indywidualna twórczość wynalazcza różnych Edisonów, Skłodowskich i Berthelotów.

Już wielokrotnie stwierdziliśmy, że ze wszystkich „szkół“ w życiu, a już najbardziej w sztuce, nie pozostało nic. Przetrawało czas i zmienność warunków życia tylko to, co było najbardziej własne, co było sobą.

Słusznie zauważył Winawer, że kiedyś w dalekiej przyszłości nie będzie mówiło się o nas: „to było w czasie, gdy na kontynencie Europy szerzyła się zaraza „Surrealizmu“, lecz: „to było wtedy, kiedy żył Edison, czy inny jakiś „indywidualista“.

Z programowego nastawienia do życia wynika właśnie tak zwana: „walka ze sztuką“ ponadklasowa, nie mieszcząc się w ramach takich czy innych, na podłożu politycznym czy społecznym, ustanowionych programów.

Skrętne zaś szufladkowanie i porządkowanie w dziedzinie krytyki jest smutnym objawem zaniku prawdziwego krytycyzmu względem rzeczy nieistotnych i przemijających.

Gdyby chodziło o parowóz, auto, spółkę zarobkową — czy inny jakiś wytwór świadomej i celowej działalności człowieka, to wyjaśnienie istoty tych zjawisk i solidne umieszczenie ich w ramach przeciętnie znanych i przeciętnie ścisłych pojęć, wystarczyłoby najzupełniej. — Inaczej rzecz się ma ze sztuką, która zawsze pozostanie zagadką.

Jest mnóstwo teorii i teoryjek estetycznych na ten tak ograny temat — i to właśnie dowodzi najlepiej, jak dalecy jesteśmy od prawdy, od rozwiązania zagadki; bowiem gdzie jest wiele różnych zdań, tam żadne nie budzi bezwzględnego zaufania.

I tu nie chodzi o rozwiązanie.

Idzie przede wszystkim o to, czy, mimo tyle historycznych doświadczeń, nie idziemy błędną drogą ku przyszłości.

Gdy my dzisiaj staramy się zagłuszyć indywidualność „miastem, masą i maszyną“ i na jej miejsce ustawiamy zbiorowe wypracowania, o tyle doskonalsze, że nowocześniejsze, czy czasem nie omyliliśmy się i (co gorsze) nie utwierdzamy się na ślepo w błędzie?

Indywidualizmu zabić jednak nie zdola najbardziej „krzycząca“ współczesność, choćby władała najzasobniejszym mechanizmem zdobyczy technicznych — ale legitymacje nasze na wstęp do potomności w randze „dobrze zasłużonych“ mocno są problematyczne i... fałszowane.

Błądzić bowiem — znaczy: jeszcze iść naprzód, ale utwierdzać się w błędzie, nie szukając z niego wyjścia jest zupełną klęską i odwrotem.

Przestańmy się raz wreszcie ludzić, co do wartości programów, wiążących grupy poetów w jednolicie (trzeba to przyznać) idący front, ale front idący w... tył. — Nie odkrywczymy „manifesty“ szablonów. — nie pławienie się we wrzacej fali współczesności — lecz indywidualizm, jak najszerszej pojęty — indywidualizm.

Taki jest nasz „program“ — innego nie mamy.

Nie odkrywamy wspólnie najnowszych zadań dla sztuki — łączy nas, i tem jesteśmy silni, jedynie szczery i poważny stosunek do „Pani dusz“.

Lech Piwowar.

TEOFIL KOWALCZYK.

ODEZWA.

Nie wołajcie nas spazmemi słów, jak płaczem sloty w wichrze,
na wasze twarze ogień niech buchnie radości — —
Idziemy — szary pluton — w dui pachnących nisz —
roboczy tłum z odezwą deptanej miłości.

Wyjdź maprzeciw człowieku, gdy gardło lzy cisną!
Ulewą strof, jak wodą, napój popękane usta. —
Salwami ciężkich pięt oczu się twe niech zachlysłną,
a na klawiszach drzew wichur melodje rozhuśta.

Nie trzeba nam pustych oklasków rykowej gawiedzi
Wystarczą wasze serca i krwi waszej ciepłe tętno —
Żyjemy czarnym chlebem burzliwych snem niedziel,
karmimy się radością jak młodość namiętą.

Słowa nasze wnet skrzepną i stwardną, jak młoty. —
Po purpurowych kablach strof depeşe iskrowe zaszumią —
palece czyjeś przekręca nowych godzin taster złoty — —
jesteśmy szaleńcami, co życie pić umia!

Płomień strzeli z słów naszych ostrą piramidą,
pod parasolem nieba serce się pieśnią zatroska. —
Z tych dni, pracą dyszących, co przed nami idą
przemówi do nas krzykiem poematów — Polska!!

Awangardą jesteśmy! — Bierzcie nas w swe dłonie!
Nasz sztandar płachtą gazet serca wasze w zmierzchu tręca! —
Miljon kolorowych lamp w ulicach naszych plonie, — —
jedziemy do was z pieśnią pociągami — Słońca!

Po wasz ból w noc wykany i po nędzę złotą,
po fibry spracowanych mięśni, które warsztaty gdzieś gryzą! — —
Po wiosnę pól Twych, co się czai nieznana tęsknotą
jedziemy — Ojczyzno! —

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI.

SZTAFETA.

Odbierz mu świętą księgę, zanim na niej skona
I pobiegij z nią dalej w zwycięskiej sztafecie —
On tu przy nas proch ziemi w agonji rozmięcie
I ducha krwią wyzionie na nasze ramiona.

Niechaj w ostatnim pulsie słabnącego serca
Echo twojego biegu ziemia mu odtętni,
W uszach mu się rozświszcze i wzrok roznamietni
Moc, która czas zdobywa i przestrzeń przewierca.

Sprężystymi mięśniami i pracą płuc silną
Unieś wielką wygraną wielkiej myśli naszej —
Całą Rzeczpospolitą jeden rytm opasze
Gdynia — Poznań — Warszawa — Kraków — Lwów — i Wilno.

A my tutaj, gdy zmiłknie twój tupot daleki
I gdy on z ust wypłusnie sztandar krwi czerwonej
Złożymy martwy zewłok, śmiertelnie zmęczony
I pierwszemu zwycięzcy zamkniemy powieki.